Bezpłatny dodatek do Nr. 237 „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr. 22. Kraków, niedziela, dnia 30-go sierpnia 1936 r.

IRENA TUROWSKA

Malta — wyspa niespodzianek

Rozmaitemi przydomkami darzono już w ciągu wieków Maltę. Cycero nazwał ją krainą miodu i róż, Walter Scott — pięknym snem, a współcześni pisarze i politycy — kluczem do Indyj i najpotężniejszą fortecą Europy.

Bezwątpienia trafne to nazwy, ale dla nas, uczestników pierwszej polskiej wycieczki była to przedewszystkiem wyspa niespodzianek. Ściśle biorąc zaczęło się jeszcze daleko od jej brzegów, na morzu Śródziemnem, radjodepeszą oznajmiającą, że kawalerowie maltańscy, przepraszam, angielska marynarka wojenna, przygotowuje próbny atak gazowy na stolicę Malty, Valettę. Wobec czego s/s Kościuszko o ile pragnie dostać się wogóle do portu, musi o dwie godziny przyśpieszyć swój kurs.

Byliśmy punktualni; jeszcze chmury gazowe nie przysłoniły potężnych fortów Sain-Elme, gdy nasz okręt zarzucił kotwicę, ale nie zdążyliśmy wylądować bez przygody, bo z niebios lunął deszcz i chociaż podobno według meteorologicznych obliczeń roczne opady na Malcie wynoszą zaledwie 20 mm, zmokliśmy w ciągu paru minut niemal do nitki, a woda na pokładzie sięgała do kostek.

Na szczęście był to krótkotrwały pech; zajaśniało bowiem słońce rozwieszając wspaniałą tęczę nad groźnemi murami, które w trzech, czy czterech kondygnacjach opasują miasto Valettę stolicę Malty, ledwie widoczną z portu czewonemi i szaremi plamami dachów i szeregiem srebrzyście błyszczących okien najwyższych pięter. W pierwszej chwili trudno się zorjentować w jaki sposób przedostać się do miasta, czyli na szczyt warowni, chyba przelecieć ponad skalistym, stromo opadającym w morze brzegiem, ponad fortami, które poczęli jeszcze w XVI stuleciu wznosić Wielcy Mistrzowie Zakonu Joanitów, aby skuteczniej bronić wyspy przed zastępami tureckich janczarów.

POLITYCZNE KOLEJE MALTY.

Nietylko zresztą Turcy wyciągali łakomie dłonie po Maltę, która stanowi przecież pomost między Europą i Azją i jest centralnym punktem na morzu Śródziemnem. Strategiczne położenie wyspy znanej w starożytności, Melitte, ocenili już Hellenowie wypierając stąd pierwotnych kolonistów Fenicjan. Z czasem grecka potęga ustąpiła kartagińskiej, która upadła pod ciosami rzymskich legjonów. Panami Malty zostali Rzymianie, a po upadku Romy wyspa przechodzi niby piłka z rąk do rąk różnych ludów. W latach 459—494 należy do Wandalów, potem do Ostrogotów, później zostaje wcieloną do cesarstwa bizantyńskiego, z początkiem 10 wieku zawładnęli nią Arabowie, wreszcie w roku 1530 dostała się, jako podarunek cesarza Karola V, we władanie Joanitów, rycerzy krzyżowych, wygnanych przez Turków z Rodosu.

Dopiero Napoleon w czasie wyprawy do Egiptu zabrał ją Joanitom, którzy siedząc tutaj przez trzy wieki bez mała, przezwali się Kawalerami Maltańskimi pod swój sztandar ściągając sam kwiat chrześcijańskiego rycerstwa. Nie długo jednak Francja cieszyła się swą zdobyczą, bo już w 1800 r. załoga francuska poddała się Anglikom, którzy uczynili z Malty bazę operacyjną swej floty wojennej. Zwłaszcza w czasie wojny abisyńsko-włoskiej umocnili tutaj znacznie swe pozycje, tem więcej, że tuż pod bokiem mieli wśród miejscowej ludności 89 proc. kolonistów Włochów, którzy pocichutku i spokojnie sadowili się przez ubiegłe stulecie w cieniu brytyjskiego lwa przejmując w swe ręce cały niemal handel, oraz produkcję warzyw na wyspie.

Dziś Włosi czują się tutaj niczem myszy na pudle i nagwałt poczynają się „maltanizować“, gdyż lew brytyjski nie śpi. Liczne torpedowce, krążowniki uwijające się w porcie, podwodne łodzie i miny, no a choćiażby i ta próba ataku gazowego wskazują, że gotów jest w każdej chwili ryknąć na śmiałka, któryby się pokusił zdobyć Valettę, — stolicę Malty, jej serce.

Z PORTU DO MIASTA.

Śniady i czarnowłosy, na Włocha wyglądający rybak, uparcie podający się za Maltańczyka, przewozi nas na skalisty brzeg w stronę miasta-warowni łodzią podobną do weneckiej gondoli, lecz nie czarnej, jak trumna, tylko jaskrawo czerwonej ze złocistym gryfem na dziobie. Mnóstwo podobnych bajecznie kolorowych gondoli uwija się koło Kościuszki, a przewoźnicy na migi zapraszają pasażerów, którzy nie są w stanie zrozumieć ich pokrzykiwań w dziwnym języku o fenickim podobno brzmieniu. Na migi również zachęca nas jeden z takich czarnych drabów do przejażdżki windą, która stanowi tutaj najprostszy, a zarazem najszybszy środek lokomocji między portem a miastem.

Wybieramy jednak drogę pieszą wśród kwitnących biało i różowo to znów kremowo oleandrów, wśród oleandrów pachnących przedziwnie mocno, upojnie, że chciałoby się wchłaniać ich aromat do końca życia, no i zapomnieć, że trzeba się wydostać jakoś na powierzchnię do miasta z tego głębokiego kanjonu, jaki tworzą forteczne mury i bastjony, ponad któremi po wspaniałych wiaduktach mkną autobusy i tramwaje, pulsuje wielkomiejskie tempo życia.

Tu na dole pustka, oprócz nas ani żywej duszy, nikogo, kto mógłby wskazać drogę. Tęsknie spoglądamy w górę, gdzie nad naszemi głowami, na ukwieconych tarasach stoją i przechadzają się ludzie, dają nam jakieś znaki, może wskazują, w jaki sposób trzeba się stąd wydostać, może nas przedczem ostrzegają, a może poprostu machają ręką na powitanie? Maltańczycy są bowiem ogromnie przyzwyczajeni do turystów, a na dobrą sprawę gadają tak potrosze wszystkiemi językami, że w rezultacie ciężko zrozumieć o co im właściwie chodzi. W każdym razie jeden z maltańskich poliglotów wywiódł nas z fortecznego labiryntu używając za dolara od osoby swego wehikułu przypominającego kształtem karawan w minjaturze, do którego zaprzągnięty był rumak z bażanciem piórkiem na łbie.

W PAŁACU WIELKICH MISTRZÓW.

Za chwilę wraz z naszym przygodnym guidem i karawanem jesteśmy w sercu Valetty, przed pałacem dawnych wielkich mistrzów zakonu, a później maltańskiego gubernatora, który zamieniono na muzeum wojskowe. Znowu jak w Istambule setki tarcz, mieczów na ścianach, zardzewiałe pancerze i kolczugi, przyłbice, strzępy sztandarów. W oszklonej gablotce ubranie tureckiego korsarza Draguta ze śladami czarnej, zakrzepłej krwi od rany śmiertelnej, którą otrzymał ten nieustraszony muzułmanin podczas oblężenia Malty przez Turków w 1915 r. Dalej zakurzona karoca, którą odbył swój triumfalny wjazd na Maltę Napoleon i znowu broń biała i palna, szacowne stosy starego nieprzydatnego już dzisiaj żelastwa, spuścizna rycerska po której teraz niemal obojętnie ślizga się wzrok turystów.

Ze zbrojowni przechodzimy do sal reprezentacyjnych ciągnących się amfiladą przez całą długość głównego skrzydła gmachu. — Tu poczekalnia dla posłów, tam sala balowa, indziej audjencjonalna z przepięknym drewnianym stropem przypominającym naszą salę „Pod głowami“ na zamku wawelskim. I tak samo, jak na Wawelu w salach pełno gobelinów, tylko te tutaj są o wiele barwniejsze, płomienisto-czerwone, to znowu, jak biskupie fjolety zachwycają nadzwyczajnem stosowaniem kolorów i rozmaitością motywów nietylko biblijnych, ale zaczerpniętych również ze świata roślin i zwierząt, to znowu wzorów arabskich i perskich.

Długie szerokie korytarze zdobią portrety wielkich mistrzów i starszych Zakonu, znamienitych Kawalerów Maltańskich. Wśród hiszpańskich konetablów, baronów niemieckich, szlachty włoskiej i francuskiej szukamy daremnie polskiej twarzy „poczciwego człowieka“, boć nierzadko polscy rycerze zaciągali się pod sztandar maltański ozdobiony krzyżem o ośmiu rogach, mających symbolizować ośm rycerskich cnót. „Między najprzedniejsze kwiaty rycerskie ze wszystkiego chrześcijaństwa zebrane“ — jak mówił nasz kaznodzieja Birkowski o maltańskich kawalerach — dostał się Bartłomiej Nowodworski herbu Nałęcz, ale chociaż odznaczył się przy zdobyciu Lepanto, samotrzeć wysadzając prochem bramę zamkową, brak jego podobizny w galerji krzyżowców. Wśród obcych nacyj jest przecież portret jednego z polskich królów, Władysława IV. Dalej otoczona zastępem rycerzy patrzy szeroko rozwartemi oczyma uwodzicielka cesarzy i kaprali, markietanka Katarzyna Wielka w balowej sukni, ostatnia protektorka kawalerów maltańskich na schyłku ich przemijającej potęgi.

KATEDRA.

Z gubernatorskiego pałacu udajemy się do słynnej katedry św. Jana zbudowanej podobnie, jak i pałac w XVI w. przez maltańskiego architekta Cassara. Wnętrze ogromne i niesłychanie bogate żywo przypomina kolorytem kaplicę Sykstyńską. Wielki ołtarz rzeźbiony w marmurze według projektu Berniniego tonie w kwiatach, cztery lampy z bronzu zwieszają się koło kolumn rzucając drżące blaski na smyrneński kobierzec, a przez kolorowe witraże świetlne plamy kładą się na kamienną posadzkę z kolorowych marmurów, której każda tafla — to nagrobek rycerza maltańskiego. W bocznych nawach, w kaplicach również mnóstwo nagrobków z czarnego marmuru, lub z alabastru, śpiących na wieki rycerzy maltańskich, posągi kute przez mistrzów różnych narodowości stoją groźne i ponure i stanowią kontrast z jasną gorejącą złotem i purpurą nawą główną, zawieszoną u góry stubarwnemi gobelinami jeszcze wspanialszemi i jeszcze większemi niż te, które podziwialiśmy w gubernatorskim pałacu.

Na chwilę wstępujemy do podziemi katedry, gdzie w niedużej krypcie stoją obok siebie sarkofagi dwóch najbardziej zasłużonych mistrzów Zakonu: Jana Valetty założyciela miasta i Adama Villiers de l'Isle wielokrotnego pogromcy Turków.

ULICA.

Z katedry jedziemy za miasto w głąb wyspy, uciekając przed gazami. Po drodze mijamy setki przepełnionych cytrynowych i czerwonych autobusów, taksówek, a czasem podobnych do naszego „karawanów“. Na ulicach kręci się mnóstwo żołnierzy, idą w mundurach khaki, to znowu w białych szkockich spódniczkach, plączą się pojedynczo, to znowu maszerują zwartemi szeregami z bronią w ręku.

A na żołnierzy z każdego rogu patrzą kamienni święci, ustawieni na ścianach starych domów i pałaców przez pobożnych kawalerów maltańskich, którzy za patronów obierali sobie bądź św. Jerzego, bądź św. Antoniego z Padwy. Przed figurami świętych płoną wieczorem kolorowe lampki, a w dzień liśćmi oleandrów zdobią posągi maltańskie niewiasty noszące dziwaczny strój na głowie przypominający trochę baldachim, a trochę dorożkarską budę.

Ten czarny maltański strój zwany gomella, albo foldetta podobno chronić ma przed ostremi promieniami południowego słońca, które nam dają się już porządnie we znaki. Jesteśmy też bardzo radzi, że przewodnik woźnica zaprowadził nas na stare miasto Citta Vecchia, zwane jeszcze dotąd przez mieszkańców Malty z arabska Medina. Wąskie uliczki są zupełnie zacienione, a jednak z murów bije gorąco niczem z chlebowego pieca, to też oddychamy z ulgą dopiero pod ziemią w Hal-Salfieni-Hypogeum. Ten zabytek nie mający sobie równego na świecie, pochodzi z epoki neolitycznej, a więc około 4 tys. lat przed Chr., jest siecią korytarzy kutych w skale, przypominających katakumby, wąskich i niskich w niektórych miejscach, w innych rozszerzających się w komory o dziwacznych asymetrycznych czasem kształtach. Osobliwością jednej sali, to echo odpowiadające tylko na bardzo niskie męskie brzmienia głosu.

Inna sala o dokładnych wymiarach sześcianu podobno była skarbcem, który w razie napadu wroga można było zatopić wodą morza, jeszcze w innej pozostały ślady ołtarza, na którym składano nieznanemu bóstwu krwawe ofiary z ludzi.

Elektryczne światło i trajkoczący bez ustanku przewodnik rozpraszają wszelki nastrój tajemniczości. Bez najmniejszego wzruszenia, krytycznym okiem spoglądamy na czerniejącą kość potylicową przedhistorycznego człowieka, ofiary, złoczyńcy, a może kapłana, czy kustosza legendarnego skarbca, którego tu w podziemiu zaskoczyła śmierć. Ciało rozsypało się w proch, a tylko kilka piszczeli i ten ułomek czaszki pozostał, służąc dziś jako makabryczna atrakcja dla angielskich i amerykańskich miss.

Mamy dość dziwów przedhistorycznych, z radością witamy słońce, które na szary popiół wypala każdą trawkę na skalistej maltańskiej glebie. Okolice Valetty przypominają pustynię. Uprawne pólka wyglą-

KAROL HUKAN

Skarbiec wieży Marjackiej

Mały skarbczyk mam ukryty
W Maryjackiej wieży,
Skarb urasta w miarę tego,
Jak me dzieło bieży.

Gdy anioła skrzydlatego
Dłutem wyczaruję,
To na szczycie pięknej wieży
Skarb się ukazuje.

Spojrzyj w górę, na szczyt wieży,
Jak błyska promieniem!
Skarbu tego nie dosięgniesz,
Mojem jest on mieniem.

A gdy kiedyś, po mej pracy,
Z ziemi się wyniosę,
Wstąpię duchem w smukłą wieżę
I skarb swój uniosę.

Kraków 1936.

Dr. KAZIMIERA KUTRZEBIANKA

Z polskiego Spisza

Kościółek św. Elżbiety w Trybszu

Niezmiernie interesujący stary kościół w Trybszu jest dotychczas, — podobnie, jak większość zabytków na polskim Spiszu, — naukowo nieopracowany. Jedyne wzmianki o tym kościele znajdujemy w znakomitym „Przewodniku po Spiszu i Orawie“ Dr Mieczysława Orłowskiego, — a także w węgierskiej inwentaryzacji zabytków Spisza, gdzie zamieszczono reprodukcję kościoła w Trybszu wraz z dawną, — dziś już nie istniejącą — wieżą. („Szepesvármegye Müvészeti Emlékei“, Budapeszt 1905, str. 6).

Kościółek w Trybszu zbudowany pod pod wezwaniem św. Elżbiety, pochodzi z r. 1547 i należy do nielicznych zabytków budownictwa drewnianego na Spiszu. Położony jest bardzo malowniczo na wzgórzu w otoczeniu zieleni i starych drzew, z pośród których wyróżnia się olbrzymia, 5 m. w obwodzie licząca, lipa i prawie równie potężny, stary jawor. Wokół kościółka rozciąga się cichy, wiejski cmentarz, ogrodzony murem z dzikiego kamienia. Groby tu zarosłe trawą, nieliczne krzyże i ubogie nagrobki chylą się do upadku, — do upadku chyli się również sam kościół dziś już zupełnie zaopuszczony. Nastrój melancholji i smutku ogarnia duszę przybysza zwiedzającego ten zapomniany zabytek. Opodal wznosi się nowy, murowany w pseudo-gotyckim stylu zbudowany kościół, do którego przeniesiono ołtarze i ważniejsze sprzęty z kościółka św. Elżbiety. Kościółek ten należący do grupy kościołów podhalańskich, — obecnie, t. j. od czasu zwalenia się dawnej, bardzo charakterystycznej dzwonnicy, zupełnie przypomina ubogą wiejską chatę.

Dzwonnica, przypierająca niegdyś od strony zachodniej do korpusu kościoła, była drewniana, oszalowana gontami, o ścianach skośnych, proporcjach ciężkich i masywnych z „sobotami“ w dolnej, a rozszerzonem pięterkiem w górnej części. Dach miała piramidalny gontem kryty. Ogólna sylwetka kościółka wskutek zwalenia się wieży niezmiernie wiele straciła ze swego piękna i charakteru. Omawiany kościółek jest jednonawowy, wymiary posiada bardzo szczupłe; liczy bowiem zaledwie 15 m. długości, a 8.15 m. szerokości (przyczem prezbiterjum jest jeszcze węższe, gdyż ma tylko 6 m. 25 ctm. szerokości).

Plan i elewacja typowe dla wiejskich kościółków polskich. Układ trójdzielny, prezbiterjum poligonalne, — niższe i węższe od kwadratowej nawy. Cały kościół nakryty jest pułapem założonym na równej wysokości, w nawie uskoki. Dach gontem kryty z szerokim okapem wspólny dla nawy i prezbiterjum. Sygnaturka nieforemna, blachą kryta. Kościół był niegdyś oszalowany gontami, z którego to oszalowania pozostały dziś tylko ślady. Obecny stan zachowania kościoła jest wprost rozpaczliwy, — nietylko bowiem wieża i zakrystja zupełnie się zwaliły, lecz nadto ściany pochyliły się w różnych kierukach, co zwłaszcza od wewnątrz bardzo jest widoczne. Wchodzący do kościoła odnosi wrażenie, że ściany i sufit lada chwila runą na jego głowę! Powyrywane w kilku miejscach belki w suficie, — dziury w ścianach, zrujnowana posadzka, na której leżą stosy gruzu, rumowiska i zbutwiałych gontów, — dopełniają obrazu zniszczenia. Z całego urządzenia kościelnego pozostały zaledwie ogołocone menze ołtarzowe, resztki ambony i stary parapet chóru muzycznego ze śladami dawnych malowideł. Nawę zapełniają porozwalane ławki kościelne i rozrzucone bezładnie zeschnięte wieńce i girlandy świerkowe.

MALARSKA DEKORACJA WNĘTRZA.

Pomimo tak wielkiego zniszczenia ocalały dotychczas dawne malowidła zdobiące ściany i sufit kościoła. Dekoracja ta pochodzi z r. 1647 i jest dziełem tamtejszego proboszcza księdza Ratułowskiego. Malowidła przedstawiają postacie świętych polskich, apostołów i sceny z Nowego i Starego Testamentu, rytmicznie poprzedzielane malowanemi kolumnami i biegnące wzdłuż ścian w dwóch szeregach. Niektóre sceny, — zwłaszcza w dolnym rzędzie, — są w wielu miejscach silnie uszkodzone i tak dalece zatarte, że treści ich rozeznać niepodobna. Wadą tych fresków jest słaby rysunek i mdły koloryt. Wartość artystyczna nierówna. Do najsłabszych należą freski na suficie, do najudatniejszych malowidła na ścianach wyobrażające postacie świętych polskich. Wyróżniają się: pełna sentymentu i wdzięku święta Elżbieta, patronka kościoła, św. Stanisław Szczepanowski w pontyfikalnych szatach i św. Jan Kanty, — wszyscy naturalnej wielkości. Nad dawnym wielkim ołtarzem widnieje, — dobra w rysunku, postać Mojżesza, nieco dalej 12 Apostołów, u dołu fresku wypisany po łacinie „Skład Apostolski“. W prezbiterjum od strony północnej wyobrażona N. Panna Marja Niepokalanego Poczęcia, dalej miło ujęte „Zwiastowanie“ i „Nawiedzenie“, nad drzwiami dawnej zakrystji „Iesus Triumphans“ na rydwanie ciągnionym przez trzy baranki, obok rydwanu postępuje ujarzmiona postać śmierci. Wszędzie napisy łacińskie. Wśród malowideł w dolnym rzędzie wyróżniają się wybitnie barokowo pojęte postacie św. Augustyna i św. Grzegorza. Na ścianie północnej widnieją nawpół zatarte, trudne już do rozpoznania, sceny ze Starego Testamentu. Na suficie na tle górzystego, przestrzennego krajobrazu wyobrażono „Wniebowzięcie Matki Boskiej“, Apostołowie pogrążeni w smutku stoją wokół pustego sarkofagu, w głębi architektura fantastyczna. W drugiej scenie „Wniebowzięcia“ wymalowanej na suficie w prezbiterjum przedstawiona jest Matka Boska stojąca na półksiężycu wśród chmur, obłoków i aniołów, którzy wkładają wieniec na głowę Bogarodzicy, — części dekoracyjne sposobem malowania przypominają kulisy teatralne, — koloryt mdły. W scenie „Koronacji Matki Boskiej“, — Bóg Ojciec i Syn Boży wkładają koronę na skronie Madonny otoczonej aniołami. W nawie na suficie przedstawił artysta „Sąd Ostateczny“. Forma malowidła nieudolna, treść, — pomimo dużej dozy naiwności żywa i zajmująca. Chrystus, jako Sędzia zasiadł na tęczy, na prawo Madonna, na lewo św. Jan, po bokach grupy świętych i męczenników, poniżej naiwnie namalowani archaniołowie, obwieszczają trąbami godzinę sądu, — u dołu ziemski krajobraz z silnemi wzgórzami, — umarli wstają z grobów, — na prawo stłoczeni, jak stado owiec zbawieni, których anioł kieruje do nieba, na lewo groźnie uskrzydleni szatani wloką do piekła dusze potępionych. W nawie na uskokach od strony południowej wymalowana „Wieczerza Pańska“, od północy „Hołd 3 Króli“, „Boże Narodzenie“ i inne zatarte już sceny. Zaletą dekoracji malarskiej w Trybszu jest bezpośredniość i szczere uczucie religijne, a także wybitnie polski charakter. Kościółek w Trybszu, w przeciwieństwie do innych polskich kościołów na Spiszu, które wykazują tak liczne wpływy kultury węgierskiej — zachował swą nienaruszoną polskość uwidaczniającą się zarówno w architekturze, jak i w dekoracji malarskiej. To też wiadomość o zamierzonej restauracji tego kościoła, — którą ma w najbliższym czasie przeprowadzić krakowski Urząd Konserwatorski, — powitały kulturalne sfery naszego społeczeństwa z prawdziwą radością.

DAWNE UDZĄDZENIE KOŚCIELNE I PRZEMYSŁ ARTYSTYCZNY.

Nieliczne sprzęty i resztki dawnego urządzenia wewnętrznego (znajdujące się obecnie w nowym kościele), jak np.: ołtarze, utrzymane w duchu baroku, — obrazy, chrzcielnica itp. nie przedstawiają większej wartości artystycznej i nie odbiegają od zwykłej produkcji rzemieślniczej. Na wyróżnienie zasługuje jedynie stary baldachim z XVIII w. na 2 drążkach (jakich wiele jest na Spiszu).

Z pośród zabytków przemysłu artystycznego na szczególniejszą uwagę zasługuje monstrancja gotycka z XV w. reprodukowana we wspomnianej wyżej węgierskiej inwentaryzacji zabytków Spisza. (str. 36, ryc. 34). Monstrancje gotyckie licznie rozsiane na Spiszu są prawdopodobnie dziełami złotników z Lewoczy, gdzie już w epoce średniowiecza złotnictwo świetnie się rozwijało.

Na plebanji w Trybszu znajdują się dwa piękne, stare ornaty, jeden na srebrnym tle t. zw. „polski haft“ o delikatnych barwach, drugi oryginalny, wykonany z tkaniny miejscowego wyrobu, — wełniany w pasy przypominający zupełnie „pasiaki“ łowickie.

W końcu wspomnieć jeszcze należy o interesującej kapliczce przydrożnej w Trybszu o rzucie poziomym w kształcie prostokąta, z czterospadowym dachem drewnianym. Kapliczka ta jest murowana i bielona, do wnętrza prowadzą drewniane drzwi, — całość sprawia wrażenie małej chatki.

(Dokończenie ze str. 1-szej).

dają jak cmentarze, które ze wszystkich stron obłożono murem kamiennym stanowiącym jedyną tutaj ochronę przed częstemi wiatrami, które usiłują wydrzeć maltańskiemu rolnikowi szczyptę urodzajniejszej ziemi pracowicie zraszanej wodą z kamiennych akweduktów pamiętających jeszcze rzymskie czasy. Jedynemi roślinami, które nie boją się słonecznej spiekoty to kaktusy tworzące kolczaste nie do przebycia żywopłoty.

Wśród tego pustynnego krajobrazu prawdziwą i bodaj najmilszą na Malcie niespodzianką to ogród św. Antoniego, istna oaza tropikalnej roślinności. Gdyby nie ścieżki, wyłożone porządnie kamiennemi płytami niczem w klasztornym wirydarzu i nie ławki zachęcające do spoczynku możnaby myśleć, że jesteśmy poprostu w raju, takie rosną tu palmy i takie cyprysy, jak kościelne wieże, filodendrony, jak altanki cieniste, a pelargonje niczem nasze krzaki porzeczek. — I oleandry pachną znowu tak mocno, przenikliwie, tulimy twarz do ich delikatnych płatków i rzeczywistość pozostała gdzieś daleko poza nami, ale tylko na chwilę, bo oto powietrzem wstrząsa jeden, drugi, trzeci i dziesiąty grzmot, a przecież na niebie niema żadnej chmurki, ale za to tu na ziemi rozgrywa się zaledwie o parę kilometrów od nas próbna wojna. Tak musimy pamiętać nawet wśród kwiatów, że Malta to morska potęga Wielkiej Brytanji.

ADAM BAR

Wśród książek

Utarło się przekonanie, że książka jest naszym przyjacielem, doradcą i nauczycielem; rzadko jednak zastanawiamy się nad jej życiem. Bo książka, jak wszystko na świecie, żyje własnem życiem. Jest ono ciche, skromne, nawet niewidoczne, a w każdym razie prawie zawsze uchodzące z pod zasięgu naszej codziennej uwagi. W ciągu wieków istnienia przeżyła już wiele przekształceń od pisma obrazkowego do wydania drukowanego, to okres tak rozległy, tak różnorodny, a równocześnie tak ciekawy, że istotnie warto się nad nim zastanowić. A jednak, poza fachowcami, dla których książka jest nietylko dziełem zawierającem w sobie zaklętą myśl ludzką, mało z tych, którzy biorą ją do ręki zastanawia się nad różnorodnością jej życia. Dość bodaj pobieżnie rzucić okiem na jej wiek dziecięctwa, gdy zjawia się w formie pisma obrazkowego, klinowego, hieroglificznego, czy też potem w postaci rękopisu pergaminowego, a wreszcie w drukowanej formie, aby zrozumieć, że książka posiada życie niezmiernie bogate w doświadczenie, a błogosławione dla całej ludzkości. Dlatego z gorącem zadowoleniem powitać należy piękną pracę **Jana Muszkowskiego** p. t. „Życie książki“ (wyd. Naszej Księgarni w Warszawie). Muszkowski, dyrektor Bibljoteki Krasińskich w Warszawie, jeden z najwybitniejszych polskich bibljotekarzy, daje w swojej pracy to wszystko, co się łączy z życiem książki. Mówi najpierw o drogach jej rozwoju w najdawniejszych czasach, potem przechodzi do historji rękopisu, ich zewnętrznej formy, materjału z którego powstały. Przed czytelnikiem, nie posiadającym fachowego wykształcenia, otwiera się nowy świat, niesłychanie ciekawy, wprowadzający go w okres narodzin książki. Muszkowski tłumaczy wszystkie zagadnienia z tem związane, opowiada o narodzinach pisma, tłumaczy w jaki sposób powstały papyrusy, jak następnie w średniowiecznych klasztorach tworzono kodeksy pergaminowe. Następnie mówi o powstaniu druku, i o równoległe z tem idącej demokratyzacji książki. Książka drukowana, to — przełom w cywilizacji całego świata, a dla niej samej nowy okres życia. Z wynalezieniem druku wyłoniły się nowe zagadnienia. Jakże różnorodne, proste i codzienne, a równocześnie jak bardzo skomplikowane i wszechstronnej wiedzy wymagające. Powstały nowe problemy, jak n. p., jakie są drogi obiegu książki, stosunek autora do nakładcy, jak rozwija się handel księgarski i na czem polega, jakie są jego zadania i cele; jak przedstawia się konsumcja książki; w jaki sposób dostaje się ona do bibljoteki, a stamtąd do rąk czytelnika; jak praca bibljotekarza i bibljografje tworzą podstawę dociekań naukowych — pozornie te wszystkie zagadnienia nie wymagają szerszych badań, a jednak ileż mieści się w nich drobnych, niesłychanie ważnych problemów. Muszkowski wprowadza czytelnika w głąb tych wszystkich kwestyj, nie omija niczego, coby jakąkolwiek poważniejszą wartość dla życia książki przedstawiało, porusza wszystkie zagadnienia, jeżeli inaczej nie można, to bodaj kilkoma zdaniami, ilustrującemi jednak rdzeń każdego problemu. Książka wstępując w świat czytelnika, tworzy kulturę. Z tem również łączy się wiele niezmiernie ciekawych spraw, a przedewszystkiem stosunek książki do oświaty. To też Muszkowski i na tę stronę jej życia kładzie silny nacisk — mówi więc o typach, środkach i terenach działania oświatowego, roli książki w akcji oświatowej, o badaniu czytelnictwa itd. W ten sposób autor wyczerpuje wszyskie najważniejsze zagadnienia. Prosty sposób przedstawienia spraw niekiedy bardzo głęboko sięgających w istotę książki jest cenną zaletą tej ciekawej rozprawy. Czytelnik, któryby chciał tę czy inną kwestję bliżej poznać znajdzie przy końcu każdego rozdziału pracy Muszkowskiego bibljografję najważniejszych rozpraw, prowadzących na szerszy teren badań w zakresie odpowiednich zagadnień. Wszechstronna wiedza autora, doskonałego znawcy przedmiotu, pozwoliła mu przeprowadzić umiejętną selekcję bibljografij, w której znalazły się pozycje jedynie najcenniejsze. Książka Muszkowskiego jest wyczerpującem dziełem, w którem poruszono wszystkie najważniejsze zagadnienia łączące się z życiem książki; jest również doskonałym podręcznikiem dla każdego bibljotekarza oświatowego, a także pracą, w której nawet czytelnik, nie zainteresowany bliżej bibljotekarstwem, znajdzie wiele interesujących wiadomości.

W ostatnich czasach modną stała się literatura o tzw. szarym człowieku, w której mowa o przedmieściu, bezrobotnych, małych miasteczkach itd. Do tej samej grupy należy również powieść **Jana Brzozy**, pt. „Dzieci“ (wyd. Książnicy-Atlas). Jest to powieść o gazeciarzach, niezwykła choćby dlatego, że autor czerpie materjał do swego utworu z tego, co sam widział i co sam przeżył. Bo koleje życia Brzozy są również niezwykłe. Jest on robotnikiem ciesielskim. Przez pewien czas uliczny sprzedawca gazet, potem terminator szewski, chłopak do posyłek, podczas wojny pomocnik przy wojskowym austrjackim telegrafie. Kształcił się jako samouk i skończył I rok państwowej szkoły technicznej. Potem przerwał naukę, ponieważ zarobione pieniądze, które uskładał, zdewaluowały się. Zostaje więc robotnikiem ciesielskim w nadziei, że może uskłada w ten sposób potrzebne fundusze i ukończy studja. Bezrobocie pokrzyżowało mu plany, nędza i głód zepchnęły na dno. W r. 1932 na konkursie Instytutu Gospodarstwa Społecznego za pamiętnik bezrobotnego otrzymał nagrodę, która otworzyła mu redakcje dzienników. Zaczyna pracę literacką, drukuje nowele i wiersze, daje również w polskiem radjo cykl odczytów ze świata pracy. W r. 1933 napisał dramat, z życia górników, p. t. „Załoga A“, który ukazał się w Teatrze Polskim w Katowicach, w następnym zaś roku drugi dramat pt. „Szyb Zosia“. W powieści swojej, pt. „Dzieci“ opisuje życie gazeciarzy. Brzoza nie szuka literackich efektów, daje raczej kronikę szarego, powszedniego dnia, w którym dzieci ulicy walczą o kawałek chleba. Wprowadza szereg doskonale przemyślanych i odczutych typów. Jest to jakby egzotyczny świat, nieznany zwyczajnemu przechodniowi. Panuje tu dramat

Rozrywki umysłowe Nr. 22

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

Rozpoczynamy w dzisiejszym numerze Czwarty Konkurs Zadaniowy, który obejmie 20 zadań różnego typu. Na początku dajemy zadanie nowoutworzonej spółki naszych matadorów, które zapewne spotka się z należytem uznaniem świata szaradziarskiego. Termin nadsyłania rozwiązań — do dnia 15-go października b. r. Ważna data stempla pocztowego. Nagrody, jak zwykle będą trzy, a mianowicie: I-sza nagroda za bezbłędne rozwiązanie wszystkich zadań; 2-ga nagroda za rozwiązanie bezbłędne choćby kilku zadań i trzecia nagroda pocieszenia dla tych, którzy nie osiągnęli dwóch pierwszych. Rozwiązanie nadsyłać należy pod adresem Redakcji dla Działu Rozrywek Umysłowych, przyczem stali prenumeratorzy „Głosu Narodu“, jakoteż abonenci niedzielnych dodatków, którzy się zapisali u kierowniczki działu na liście stałych odbiorców, zwolnieni są od załączania kuponów. Reszta pp. Czytelników, chcąc mieć prawo ubiegania się o nagrody, obowiązana jest załączyć kupony ze wszystkich numerów. Rozwiązania można nadesłać wszystkie razem

CZWARTY KONKURS ZADANIOWY.

ZADANIE 1-sze — Rebusik kołowy

John Ly & N. K. Kozłowski



ZADANIE 2-gie — SZARADA.

Wanda Hoserowa

Co to jest, co gra radjo? To jest przecież cała,
Taka przedziwnie piękna, radosna, wspaniała...
Nić melodji się snuje, jak wiotka pięć - druga,
to się wznosi, to cichnie, to uśmiechem mruga.

Widzę jakiś raz dworski... twarz Czwor - pięć szóstego...
z pod cudownych rąk jego płynie raz - dwa - trzecia...
Tak bywało w połowie zeszłego stulecia,
dzisiaj mamy jedynie echa z czasu tego.

Słucham w skupionej ciszy... Co radjo wnet sześć - trzy?
Inna raz - dwa - trzy piękna ucho nasze pieści,
nazywamy ją F - moll... i jest taka rzewna,
jakgdyby nam największy ze smutków ją śpiewał.

Dwa - trzy chwila łza z oczu nam spłynie cichutko...
(Czemu zawsze, co dobre, trwa w życiu tak krótko?...)
Czasem przebije polskie, ukochane trzy - sześć...
Chciałoby się Mistrzowi wszystkie kwiaty przynieść
I rzucić na odległą, tak drogą mogiłę...
Napewnoby Mu były jaknajbardziej miłe...

ZADANIE 3-cie — Logogryf Literacki

„ANERG“

Nr	Litery
1	c e e h m s y
2	e e g i m n n r r t u
3	a a c c e i ł r w
4	a a a a e i k n n n n r
5	c e e i k m ó r w y ż
6	c e e h i o p r s s y
7	a a b e g h m n o r r u y z
8	ą b b d ę i i l y
9	a a c d ę i i k l n o s y ż
10	b i k n o r u
11	a a c e d e g h i k ł o o ó p p r r s w w
12	a b e e i i k ł n ń p s ś u y
13	a c e e i k m n o r w z
14	a d i k ł m o o p r s t y z
15	a a b c i k ł s w y
16	a ł o o ó p p r s t w
17	c k o r w y y z ż
18	a a a a b ę i k n r r s t u w y
19	a e i j j l m o o r u
20	a b c e i n o o o r w
21	c c i l o s y y w z
22	a a c d i l n o o o p s t w
23	a a f i k n n t
24	a a c e i k m n n p t y
25	a c d d d e e f i i l o o p r w
26	a a a b c e e i i i m n o z
27	d i j n o r y
28	a a a b i n s s
29	a c c h ł ń u y
30	a d ę g g i i k l n s u ż
31	a b c c d e e i i n n n o o o o r r ś z z
32	a a e e i k n r r w z
33	a a b i l n n o ó p s
34	a k o r r s z
35	a a c e e g i i i j k l n n ó t t w w

Z liter powyżej podanych ułożyć w kierunku pionowym tytuły utworów niżej wymienionych autorów. Początkowe litery, czytane poziomo, dadzą tytuł jednego z dzieł, imię i nazwisko nieżyjącego głębokiego myśliciela i filozofa. — **Dzieła są:** 1. M. Gawalewicza, 2. W. Gąsiorowskiego, 3. W. Przybyszewskiego, 4. L. Tołstoja, 5. M. Maeternick, 6. J. Żuławskiego, 7. K. Tetmajera, 8. wspak M. Rodziewiczówny, 9. J. Londona, 10. Z. Nowakowskiego, 11. J. Kochanowskiego, 12. A. Fredry, 13. St. Szpotańskiego, 14. F. Ossendowskiego, 15. J. Curwooda, 16. J. Niemcewicza, 17. Z. Kossak - Szczuckiej, 18. K. Makuszyńskiego, 19. Szekspira, 20. Rabindranat Tagore, 21. F. Ossendowskiego, 22. St. Wyspiańskiego, 23. J. I. Kraszewskiego, 24. B. Prusa, 25. K. Dickensa, 26. St. Wł. Reymonta, 27. Z. Krasińskiego, 28. Ksenofonta, 29. W. Sieroszewskiego, 30. R. Kiplinga, 41. G. Chesterton, 32. St. Żeromskiego, 33. J. Weyssenhoffa, 34. J. Conrada, 35. M. Maeterlincka.

Zadanie 4. — Szarady — Abecadło

(Dalszy ciąg)

Dziadek z Bakszty, członek Kl. Szaradowego

15.

Już ramię Włocha, jak **trzy - druga**
kraje Etjopji opasała,
już kraj Negusa, to Włoch sługa:
czarnymi rządzi tam twarz biała.
U wód jeziora **Dwa - pierwszego**
sztandar Il Duce dziś powiewa,
a „Giovinezzę“ w cieniu jego
młody faszysta z dumą śpiewa.
Kiedyż zawita do Abeby
Dwa - trzecia, Klio, Terpsychora?
Kiedy nie będzie tam potrzeby
zamiast lekarza, zwać znachora?

16.

Chociem nie **drugi**, ani sybaryta,
to jednak lubię, by mi zrana **Cała**
w tiule, koronki, ażury spowita
trzy - trzecie - pierwsze do łóżka podała.
Nie spuszczam wówczas **pierwszego - trzeciego**
z rąk pracowitych mojej małej Pani,
bo cóż na świecie może być milszego,
jak za swą pracę coś otrzymać w łani?

Humor

ROZWÓJ TECHNICZNY.

Sędzia do oskarżonego: — Co, w tak poważnym wieku kradnie pan jeszcze samochody?

Oskarżony: — Panie sędzio, w mojej młodości jeszcze samochodów nie było.

* * *

NOWA PISOWNIA.

Jak się pisze „wtorek“, przez k czy prz z g?

Nie wiem. Przeszukałem w słowniku całą literę f i nie znalazłem.

* * *

DŁUGODYSTANSOWIEC.

Mój przyjaciel Iksiński jest rekordzistą w biegach długodystansowych. Spotykam go onegdaj na ulicy, pędzącego w szalonem tempie przez jezdnię. Z największym trudem daje mi się go zatrzymać: „Dokąd pędzisz, szaleńcze?“ — „Włamywacze! — woła zdyszany. — Włamywacze w moim domu. Spłoszeni przeze mnie uciekli“. — „A teraz gdzież są w tej chwili ci twoi włamywacze?“ „Zostali daleko w tyle, dzięki Bogu“.

* * *

ASEKURACJA NA WSZELKI WYPADEK.

„Fotografja twoja wisi ponoć w biurze matrymonjalnym!“

„Nie gniewaj się na mnie, mężulku, zaniosłam ją zeszłego roku, kiedy tak ciężko chorowałeś!“

obok komedji, prawo pięści obok głębokich, wzruszających uczuć przyjaźni, walka obok naiwnej bezradności. Również moralność w tym świecie posiada swoje odrębne formy, mimo jednak swojej charakterystyczności jest ona wzniosła, bo na jej czele postawiona miłość bliźniego, przyjaźń, która zdolna jest do każdego poświęcenia. Trzeba wiedzieć, że w powieści Brzozy na barkach gazeciarzy niejednokrotnie spoczywają ciężkie obowiązki i głęboka odpowiedzialność. A co najważniejsze, że świadomość tych obowiązków i tej odpowiedzialności nie jest sztuczna, nawet nie wypływająca z nieodwołalnej konieczności, rozumie się ona sama przez się. Brzoza opowiada o dzieciach, w których słabych wątłych rękach spoczywa obowiązek utrzymania rodziny, o dzieciach bez dachu nad głową, od najwcześniejszych lat życia staczających ciężką walkę o prawo do życia, choćby najmniej posiadającego wymagań, najprymitywniejszego. Oto mały Janek, któremu matka umiera i który o chłodzie i głodzie szuka jej po ulicy, oto mały Tolek, który przez całe życie marzy o skrzypcach, składa grosz do grosza i niczego uskładać nie może, bo musi pomagać rodzinie, oto inny, który pragnie uczyć się i zostać inżynierem albo doktorem, oto mali włóczędzy, których tak wiele na ulicy. Niema najmniejszej wątpliwości, że w tych marzeniach, często bardzo naiwnych marzeniach dzieci ulicy, Brzoza opowiada o swoich własnych przeżyciach. Opowiada zaś dziwnie prosto. Sam temat i forma jego ujęcia o krok graniczy z ckliwością. Tani sentymentalizm, łezka w oku wisi niemal nad każdą sceną, wystarczy silniejsza dawka wrażliwości, aby wpaść w rozmazaną czułostkowość. Ale Brzoza wyszedł ze wszystkich niebezpieczeństw obronną ręką. Doskonała znajomość dzieci ulicy stanęła ponad wszelką literackością. Autor z fotograficzną prawdą odtwarza ich dzień po dniu, i chroni się przed czułostkowością. Zbyt wiele dramatu mieści się w życiu tych gazeciarzy, zbyt silna walka wypełnia każdy dzień, aby był czas na rozmazywanie się. I zbyt wielkie wyczucie artystycznej rzeczywistości mieści się w talencie pisarza. To właśnie wyczucie dyktowało mu słowa proste, nie liczące się z kanonami literackiemi, nawet styl jest pełen zaniedbań, czasem rubaszny, co jednak daje mu najwięcej uroku i najmocniej zbliża do prawdy. W powieści dziecięcia naiwność zlewa się niejako z brutalną rzeczywistością, niema tu miejsca na romantyczną łezkę. Niema tu również głównej nici fabuły, akcja rozwija się niejako samorzutnie, nie oparta o głównego bohatera. Bohaterem jest ulica. Nie ta ulica wyfiokowana, pełna błyszczących samochodów, świecąca różnokolorowemi neonami i ozdobiona wspaniałemi wystawami, ale szara, pełna nędzy i rozpaczliwej walki o prawo do życia. W ulicy Brzozy nie znajdzie się także wielkich haseł ani programów socjalnych, ani nienawiści społecznej, papierowego humanitaryzmu, ale właśnie ta aspołeczność jest jej najsilniejszym programem, i najgłębiej sięga w serca i najsilniej woła o sprawiedliwość społeczną. Bo powieść Brzozy mówi sama za siebie, a jej bezprogramowość jest najdoskonalszym programem. A równocześnie nie staje w żadnej scenie w poprzek zamierzeniom artystycznym. Zamiast pisarza mówi treść powieści, która dzięki temu tem silniej uderza w serca. Doskonała plastyka postaci, w których usunięto wszelki literacki szablon, dialogi żywcem z rzeczywistości przeniesione, umiejętnie wyczuwany głęboki sens społeczny, wypływający samorzutnie z akcji, wolny od papierowej demagogji, prostota i szczera naturalistyczność stylu — te niezaprzeczone wartości powieści Brzozy świadczą o wybitnym, rzetelnym talencie.

Najnowsza powieść **Aleksandra Świętochowskiego**, p. t. „Twinko“ (wyd. Rój) wiąże się z faktem historycznym. Jednym z członków komisji śledczej Nowosilcowa w Wilnie był Hieronim Botwinko, którego synowie nie chcąc utrwalać shańbionego nazwiska postanowili się nie żenić. Na tym fakcie oparł Świętochowski powieść, w której przedstawia dzieje Botwinki, pragnącego gorącą miłością ojczyzny i oddaniem się sprawie narodowej oczyścić nazwisko ojca. Ale fabuła w powieści Świętochowskiego jest raczej elementem drugorzędnym. Niema tu tła również historycznego, niema obrazu ówczesnego społeczeństwa polskiego, niema psychiki ludzi, którzy po klęsce listopadowej w tym właśnie czasie dźwigali się z upadku i zaczęli układać nowy program na przyszłość. Jeżeliby kto chciał z powieści Świętochowskiego poznać społeczeństwo polskie około r. 1848, z pewnością niewieleby się o niem dowiedział. Świętochowski prowadzi akcję koło jednej postaci, inne bowiem posiadają znaczenie uboczne i dlatego szybko znikają z opowiadania. Ale i to nie wszystko. Twinko jest bohaterem romantycznym, zapatrzony w swój ideał, dobrowolnie stara się dostać do więzienia, pomaga emisarjuszowi, poto tylko aby ponieść karę za winę ojca. Nie jest to bohater na miarę Wallenroda, raczej romantyk, który upaja się swojem męczeństwem, nie potrafiłby budować, umie tylko cierpieć za wszystkich. Coś w nim jest z mesjanisty, z literackiej cierpiętliwości, a już najmniej z człowieka czynu. Taką właśnie postać uczynił Świętochowski bohaterem swojej powieści. Co więcej, zrobił go nauczycielem polskości; Twinko bowiem ze wzgardą odsuwa się od swoich najbliższych, dopatrując się w nich braku uczuć patrjotycznych, i wprawdzie nie wskazuje na siebie, jako na wzór, niemniej w intencji autora wyrasta na bohatera męczennika za sprawę Polski. To pewne, że ten romantyk i mesjanista, dźwigający na sobie bez szemrania brzemię win, nigdy nie stworzy programu. Ale powieść Świętochowskiego jest cennym przyczynkiem do poznania ideologji samego autora. Świętochowski bowiem wprowadza szereg wstawek dyskusyjnych, w drugiej połowie książki wplata w akcję pamiętnik Twinki, w którym wypowiada swoje poglądy nie bohater powieści, ale jej autor. Pierwsze zasiewy rewizjonizmu historycznego rzucone z całą bezwzględnością w „Genealogji teraźniejszości“, już tutaj (powieść powstała w r. 1928) wschodzą; są to wpradzie jeszcze bardzo nikłe roślinki, ale już z nich łatwo odcyfrować krytyczny sąd Świętochowskiego w stosunku do aktualnych zagadnień polskich.

KUPON Nr. 22.

ważny do dnia 15-go IX b. r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Wojna domowa w Hiszpanji wydobyła na wierzch takie zbrodnicze instynkty i takie potworne brutalności, że właściwie wszystkie żywioły kulturalne, wszystkie państwa powinny się złączyć, aby położyć kres bratobójczej wojnie i zbrodniom komunistów, i oddać władzę ugrupowaniom zmierzającym do zapewnienia krajowi ładu i spokoju.

DZIECI NARZĘDZIEM... Potworności wojny domowej hiszpańskiej dotyczą przedewszystkiem dziedziny religijnej. Marksiści wszystkich odcieni wyciągają właściwe wnioski z zasady Marksa, że „religja jest opjum dla ludu". Niszczą tę „truciznę" w każdej postaci; a więc i kościoły i duchowieństwo. Posuwają się przytem aż do takich odrażających, horendalnych, aktów, jak nadużywanie małych dzieci do tych czynności.

„La Croix" pisze o następującym wypadku, który się wydarzył w Maladze... Tłum podbechtany przez komunistów rzucił się na jeden z miejscowych kościołów. Co mógł, to — zniszczył i zburzył; w końcu podłożono ogień, który strawił wszystko, co było do spalenia. Przedtem jednak zebrano dzieci z pobliża, rozdano im szaty liturgiczne, ubrano je w alby i ornaty, a potem na pośmiewisko religji kazano im tak przybranym defilować ulicami miasta. „Gdy się czyta — pisze dziennik paryski — o tego rodzaju ekscesach, to się budzi oburzenie; nie na dzieci, bo te nie wiedzą, co czynią, ale na tych, którzy je do tego pobudzili"... „Tak drobna różnica — kończy „la Croix" — oddziela człowieka od zwierzęcia, i bez działania łaski człowiek tak łatwo staje się zwierzęciem".

„ZAŁATWILI SPRAWĘ RELIGJI". — Założony w Barcelonie już w czasie wojny domowej komunistyczny dziennik „Vanguardia" w numerze z 2. VIII. zdaje sprawę z wielkiego zgromadzenia w stolicy Katalonji. Referat w sprawie religji wygłosił tam Rosjanin (!), Nin, były sekretarz Tomskiego (głównego kierownika komunistycznej „Międzynarodówki Zawodowej", czyli „Profinternu"). Oto, co m. in. powiedział:

„Hiszpanja miała do załatwienia wiele problemów. Republikanie burżuazyjni jednak nie zdobyli się na ich załatwienie. Dopiero myśmy załatwili sprawę religji, burząc wszystkie kościoły".

Jest to bezprzykładne w głupocie i zarazem w barbarzyństwie oświadczenie. Zburzenie wszystkich kościołów wydaje się p. Ninowi „załatwieniem sprawy religji". Czy może być bardziej, niż to, barbarzyńskie „uregulowanie" stosunku państwa do Kościoła? Ale i czy może być głupsze? P. Nin może nie wie, że chrześcijaństwo miało okres życia dosłownie pod ziemią, w katakombach. Gdyby wiedział, toby może nie mówił, że można „załatwić sprawę religji" przez burzenie kościołów. A może wie, tylko sądzi, że Komintern i Stalin jest mocniejszy, niż Neron lub Dioklecjan. Może...

KATOLICYZM W POŁUD. AFRYCE. Równocześnie z przygnębiającemi wiadomościami z Hiszpanji skądinąd nadchodzą pocieszające i miłe. Donoszą o nowych zdobyczach wiary i o nowych sukcesach katolicyzmu.

Z końcem lipca odbyła się w Barberton w Transwalu podniosła uroczystość z okazji 50-lecia miejscowego kościoła, który był pierwszą katolicką świątynią w Transwalu, a jedną z pierwszych w południowej Afryce. Delegat apostolski na południową Afrykę, Mgr. Gijlswijk odprawił pontyfikalną Mszę św., na którą przybyły takie tłumy wiernych, że uroczystość kościelną trzeba było przenieść do wielkiej, uroczystej, auli magistratu miejskiego. Przybyli na nią burmistrz miasta i grono radnych, jakkolwiek nie katolicy. Na zebraniu, które się po Mszy św. odbyło, katolicy postanowili przystąpić do wzniesienia nowego, okazałego, kościoła, a burmistrz przyrzekł dać na ten cel znaczną sumę ze względu na „szlachetną rolę, którą Kościół katolicki w kraju odgrywa".

W KANADZIE I W JAPONJI. Nowojorski perjodyk, „America", pisze o doskonałym stanie katolicyzmu w Kanadzie. Katolików w tym kraju było 4,098.547 w d. 1. I. 1936. Jest to zaledwie 39.48 proc. ogółu ludności. Mimo to dzięki doskonałej organizacji, współpracy świeckich z duchowieństwem i szerokości horyzontów u kierowników „Akcji Katolickiej" zapewnili sobie bardzo wpływową rolę w kraju. W ostatnim parlamencie mieli 38 senatorów na 98, — a 78 posłów na 245. Do obecnego parlamentu weszło o 21 nowych posłów i senatorów katolickich więcej.

Z dłuższego objazdu po Europie wrócił do Tokio Jezuita, O. Kraus, profesor Uniwersytetu katolickiego w stolicy Japonji. Nazwisko O. Krausa (Niemca z pochodzenia) jest znane wszystkim, którzy się zajmują sprawami społeczno-gospodarczemi. Obok wielu innych prac wydał zasadnicze dzieło, które wywołało olbrzymie wrażenie w świecie nauki. Ma ono tytuł: „Scholastik, Puritanismus und Kapitalismus". A jego treść da się ująć w zdaniu: t. zw. kapitalizm rozwinął się przedewszystkiem wśród purytanów i kalwinów Anglji i Holandji, a w walce z katolicką filozofją scholastyczną...

O. Kraus bawił parę miesięcy w Europie w związku ze swoim planem wydania katolickiej encyklopedji dla Japonji i po japońsku. Był we wszystkich prawie ośrodkach katolickiego ruchu umysłowego i uzyskał zapewnienie współpracy w planowanem dziele ze strony tak wybitnych uczonych i myślicieli katolickich, jak: Belloc (Anglja), kard. Baudrillart, Maritain, Mauriac, Maudel (Francja), O. Gemelli, Papini, Marconi (Włochy); Benedyktyni z Beuron objęli cały, olbrzymi, dział muzyki w przyszłej encyklopedji.

...Nie trzeba ani na chwilę tracić równowagi ducha wobec straszliwych prześladowań wiary i cierpień Kościoła w Hiszpanji. Kościół ma obiecaną przez Chrystusa trwałość i niezniszczalność, lecz nie wolność od prześladowań i pokój. Przeciwnie. Małoż to razy ostrzegał Chrystus uczniów, że idą w świat, który ich będzie prześladował, że spotkają wilków, że będą męczeni i zabijani? Ale Kościół ma dar i cechę niezniszczalności. Wszystko mija, i wszystko przeminie. Przeminą także prześladowcy wiary. Zostanie Kościół. „Galilejczyk" zwycięży.

Pejot.



Co się dzieje w Meksyku?

Zrobiło się w ostatnich czasach ciszej koło Meksyku. Dlaczego? Czyżby tamtejsze „bezbożnictwo" wróciło wreszcie do używania rozumu? Niedawno tutaj podana wiadomość o tworzeniu seminarjum duchownego meksykańskiego na terytorjum Stanów Zjednoczonych nie świadczy o tem, a bliższe, bardzo ciekawe, szczegóły o obecnym stosunku państwa do Kościoła w Meksyku przynosi zeszyt paryskich „Etudes" z 5. VIII. b. r.

Rok temu władzę prezydenta Meksyku objął p. Cardenas. Mówiono o nim, że jest „spokojniejszy"; katolicy żywili nadzieję, że „znormalizuje" stosunek państwa do Kościoła. Nadzieje te okazały się z czasem złudnemi. Nie spełniły się.

W d. 31. sierpnia 1935. pojawił się w oficjalnym dzienniku ustaw Meksyku dekret Prezydenta w sprawie nacjonalizacji dóbr kościelnych. Tyczy się on wprawdzie spraw materjalnych, ale te materjalne sprawy tak się nieraz łączą z duchowemi, że je trudno od siebie oddzielić.

O tym dekrecie publicysta francuski z „Etudes" pisze, że jest „najbardziej drakońskiem i brutalnem z wszystkich antyreligijnych praw, jakie kiedykolwiek były wydane".

Artykuł drugi zarządza konfiskatę (oczywiście bez odszkodowania) wszystkich świątyń, kaplic, budynków przeznaczonych do kultu publicznego, wszystkich mieszkań biskupich i proboszczowskich, seminarjów duchownych, kollegjów zakonnych, klasztorów, i to z wszystkiemi gruntami i placami. A wreszcie zarządza konfiskatę „wszystkich budynków, które były zbudowane lub są przeznaczone do administracji, propagandy lub nauczania kultu religijnego"... Nie bez powodu dołączono ten ostatni ustęp.

Artykuł bowiem trzeci specjalizuje, które to budynki podpadają pod to postanowienie („administracja, propaganda lub nauczanie"). Mianowicie te, w których „za wiedzą właściciela:

1) spełnia się akty, które zawierają w sobie propagandę publiczną kultu religijnego,

2) zakłada się biuro dla osób, które mają władzę w stosunku do wiernych pewnej religji lub sekty,

3) zakłada się szkołę lub ognisko nauczania bez względu na nazwę, ale z tendencją religijną,

4) zmierza się do celów religijnych,

5) wogóle zaś, choćby żaden z wykazanych powyżej wypadków nie zachodził, to (zarządza się konfiskatę) o ile można wnosić, że budynek służy podobnemu przeznaczeniu, a to na podstawie okoliczności, które pozwalają to przypuszczać z pewnem uzasadnieniem" (presumer avec fondement).

A więc konfiskacie ulega dom, który nie służy celom religijnym, ale co do którego się przypuszcza, że takim celom służy. Nie trzeba zatem dowodów. Wystarczy presumpcja. N. p. donos złośliwego człowieka.

Dekret nie został na papierze. W przeciągu 1½ miesiąca od jego wydania państwo skonfiskowało 4.000 budynków, które się dotąd jeszcze broniły przed konfiskatą. Między innemi zaszedł następujący wypadek: — skonfiskowano prywatny dom siostry arcybiskupa z Puebla, ponieważ stwierdzono, że arcybiskup w nim przez pewien czas mieszkał; to pozwoliło na „presumpcję z pewnem uzasadnieniem", że dom służył celom religijnym.

Dekret uniemożliwia prowadzenie seminarjów duchownych. W największej skrytości muszą klerycy zmieniać co chwila mieszkanie i kryć się. Pewien („Etudes" unikają wymieniania nazwisk, gdyby to mogło nazwanym zaszkodzić) biskup w końcu zebrał swoich kleryków i wyprowadził się w góry; dopiero tu, zdala od ludzi, uczuł się bezpiecznym.

Dekret ma ponadto uniemożliwić księżom wykonywanie obowiązków duszpasterskich... Znane już jest naszym czytelnikom postanowienie konstytucji Meksyku, pozwalające poszczególnym „stanom" ustalać liczbę duchowieństwa dla swego terytorjum. Ponieważ ta liczba jest zwyczajnie śmiesznie mała, skutkiem czego księża (bez pozwolenia władz) muszą po kryjomu wykonywać swój urząd kapłański, — dekret ma im to uniemożliwić przy pomocy groźby, że każdy dom prywatny, w którym się zatrzymują choćby na nocleg, ulegnie konfiskacie... „Etudes" podają ciekawe dane na ten temat".

I tak w r. 1931 gubernator stanu Vera-Cruz postanowił, że wystarczy jeden ksiądz na 100 tys. wiernych; skutkiem tego tylko 11 księży otrzymało pozwolenie na wykonywanie obowiązków duszpasterskich w tym „stanie". Oczywiście wszystkie kościoły zostały zamknięte prócz 11. A kiedy posypały się skargi do sądów i do parlamentu, p. gubernator jednym zamachem zamknął i te 11 kościołów, wypędził i tych 11 księży ze swego „stanu".

Ten przykład naśladowały inne „stany". I tak stan centralny, Meksyk, ograniczył u siebie liczbę księży do 25, t. j. do jednego na 60 tys. wiernych. Trzynaście stanów zadeklarowało, że nie potrzeba wogóle księży, — a trzy stany (Puebla, Tabasco i Campeche) oświadczyły, że uznają tylko żonatych księży, co — rzecz jasna — jest równoznaczne z odmówieniem pozwolenia.

Ostatecznie — konstatują „Etudes" — na całe państwo Meksyku udzielono pozwoleń początkowo 300 księżom, a liczba ta spadła obecnie na 197. I tę liczbę wymieniają biskupi meksykańscy w swym liście do Episkopatu Ameryki Południowej i Hiszpanji z 13. II. 1936. Czy się nie bronili?

W dn. 7. X. 1935 wystosowali memorjał do prezydenta i przedstawili udokumentowaną dowodami skargę na te stosunki. Prezydent jednak nie był łaskaw im odpowiedzieć. Odpowiedział im obelgami minister spraw wewnętrznych, któremu podlegają sprawy wyznań.

Jest to jedna zaledwie strona prześladowania katolicyzmu w Meksyku. A nie zapominajmy o innych. N. p. o „socjalistycznem wychowaniu" w szkołach, które przewiduje ateizm i propagandę materjalizmu dziejowego w miejsce religijnego wychowania. I tu się nic nie zmieniło za panowania p. Cardenasa.

Jeśli zaś dokoła Meksyku zrobiło się ciszej w ostatnim czasie, to tylko dlatego, że p. Cardenas walkę z religją przeprowadza bez hałasu, choć z nie mniejszą, niż Calles, konsekwencją i zaciekłością.

B. D



Z obcej niwy

Zaniedbanie w głoszeniu prawdy

Wojna domowa w Hiszpanji pochłania uwagę Europy w całości. To jest dziś najważniejsze wydarzenie. Wszyscy bowiem — tak ci, którzy stoją po stronie marksistów, jak ci, którzy zwycięstwa życzą powstańcom — wiedzą, że w tej wojnie chodzi nie o zmianę rządu, ale o coś nieskończenie więcej: o zwycięstwo, lub klęskę komunizmu, tego największego wroga cywilizacji i religji.

Ale, kiedy patrzymy na to, co się dzieje w Hiszpanji, czy nie przychodzi nam na myśl, że musiały być w katolicyźmie tego kraju jakieś braki i jakieś luki, jeśli ogromna część narodu hiszpańskiego dała się porwać wysłannikom Moskwy do otwartej walki z religją, a przynajmniej nie przeszkadza tej walce?

Katolicka prasa nieraz zwracała na ten moment uwagę. Katolicyzm hiszpański zbyt był konserwatywny w poglądach społecznych i zbyt zależny od tronu, — nie zapuścił korzeni w masy ludowe, nie potrafił związać ich społecznych dążności z Kościołem. Katolicyzm hiszpański lękał się ruchów społecznych, a nie próbował ich natchnąć ideami encyklik społecznych.

Delikatny oddźwięk tych myśli spotykamy we Francji katolickiej. Publicysta z „La Croix", J. Caret, pisząc w numerze tego pisma z 22-go sierpnia b. r. o źródłach walki domowej w Hiszpanji, oświadcza: „Możemy ubolewać, a co do mnie, to głęboko ubolewam, że kler hiszpański nie zawsze rozwijał żywą działalność społeczną i ludową, któraby mu pozyskała pełne sympatje mas"... Francja ma jeszcze inny powód do wgłębiania się w te problemy. I na jej bowiem terenie hasła „Frontu Ludowego" chwytają masy i grożą ciężkiemi dla katolicyzmu komplikacjami. Jest nad czem pomyśleć!... Bardzo interesujące na ten temat myśli rzucił biskup z Carcassonne, Mgr. Pays, przemawiając do duchowieństwa swej diecezji. Za paryską „La Croix" przytoczymy z nich parę wyjątków:

„Przyszłość — mówił — spowita jest w chmury. Co przyniesie? Jest to tajemnica Boża, ale i nasza sprawa. Naszą sprawą jest spełnić nasz obowiązek i być dobrymi robotnikami Opatrzności...

Trzeba szerzyć znajomość doktryny Kościoła. To podniósł niedawno Papież, mówiąc o komunizmie. Nie wolno lenić się w opowiadaniu i rozszerzaniu Prawdy; wypadki kończą się zawsze tak, że rację przyznają Prawdzie i tym, którzy ją głosili. Sam Bóg mówi do dusz, gdy się ją głosi; i na tem polega jej skuteczność.

Ach! Gdybyż to zawsze była głoszona Prawda, cała Prawda, a więc i Prawda społeczna, którą przy różnych sposobnościach przypominały encykliki! A przedewszystkiem, gdybyśmy ją byli wypełniali! Lecz — nie! Na równi z socjalistami traktowano tych, którzy byli posłuszni tej społecznej nauce. I skutkiem tego stało się że, gdyśmy ją opuścili, nieprzyjaciel ją sobie przyswoił i wykorzystał przeciw nam. Nie rzucajmy z tego powodu na nikogo w szczególności kamieniem! Każdy z nas winien sobie powiedzieć w tej sprawie: mea culpa.

Dopiero, kiedy nadejdą czasy twarde, a wypadki społeczne następują szybko po sobie, — dopiero kiedy nas zaskoczą wydarzenia, — spostrzegamy, nieco już późno, że trzeba było działać. A i wtedy chciałoby się realizacje społeczne przeprowadzać przy pomocy mglistego frazesu, który przez lęk przed właściwem słowem kryje usposobienie wrogie owej realizacji.

Obyż nas przynajmniej przeszłość nauczyła!... Rozdajmyż więc pełnemi rękoma prawdę, — każdy na swojem stanowisku, od najmniejszych do największych! Nasze słowo winno rozpraszać ciemności. A by to mogło robić, winno być jasne i gorące, „świeca gorejąca i świecąca", jak Jana Chrzciciela".